



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KWIATY ZIMOWE.

Sędziwy już poeta francuzki, Ernest Legouvé ofiarował na Nowy Rok współziomkom swoim wiązanekę *Kwiatów Zimowych*—myśli i uwag o życiu, wyszłych z poglądów jego starości na świat i ludzi, z wrażeń przeszłości i terażniejszości. — Jedne wesołe są, drugie smutne... pisze we wstępie—wszystkie niemniej pokrzepiły go niejednokrotnie, lub przyniosły mu radę dobrą, gdy czuł się smutnym lub znużonym: więc powiedział sobie: — Podzielimy się... i zapisał kilka stronnic *Revue Littéraire* wyznaniem, obrazami, uzbieranymi wśród życia przez doświadczenie.

Pierwszym kwiatem dobrej rady, który przynosi rówieśnikom swoim, jest nauka cierpliwości. Młodość budzi się do życia z każdym porankiem dnia wschodzącego, jak władca potężny. Pełnia sił młodego zdrowia i nadzieja, która się z nich rodzi, grają mu wesołą pobudkę do życia, ukazując szeroko otwarte horyzonty istnienia. Starość niezawszę czuje się dostatecznie pokrzepioną przez odpoczynek, nieraz też przeciąga się leniwie i powiada sobie, że dziś chce spokojnie założyć ręce, ale Legouvé woła: — Broń cię Boże!... Do obowiązku!... Do obowiązku!.. Silna wola podpira człowieka, a starość powinna przyzwyczajać się do tego, że już nie może jej być tak lekko i wesoło, jak młodości—że praca musi kosztować ją teraz więcej, być okupioną drożej, przyczem autor czyni oryginalne porównanie: „W pewnym wieku trzeba przystać na trzewiki, które uciskają nogi idącego...”

Dobroć jest pięknością starości. Biała klematyś, której krzew miał na ganku, przywiódła

poecie myśl o szczęśliwej starości kobiecej. Pnąca się ta roślina jest bardzo wdzięczną; kwiat jej śnieżyście biały, złożony z wysmukłych płatków, ma powab oczy nęcący, lecz zapach najmilszy wydaje wtedy dopiero, gdy wędznąć zaczyna, i dla tego roślina tracąc nawet urok piękna i świeżości, nie przestaje być pożądaną.—Znałem kobiety podobne... pisze Legouvé. Uchodzącą piękność zastępowała dobroć, słodycz, dobroczynna tkliwość współczucia dla ludzi, i gdy tak jest, dzieje się ze starzejącą to samo, co z owym wędniejącym kwiatem.—Tak należy starzeć się kobiecie... zakończy—„remplacer l'éclat par le parfum.”

Rezygnacją, spokojną zgodę z tem, co jest rzeczą nieuniknioną, czyni Legouvé słusznym szlachetnym kwiatem zimy życia. Zdobyć się na nią, jest to unieść coś szczęścia, bo coś cichego spokoju, który nie dopuszcza daremnych żalów i nie pogłębia tej melancholii, — co, jak mgła wznosząca się o zachodzie słońca nad ziemią, przysłania zawsze po ujściu młodości krajobrazy życia. Znał Legouvé człowieka, niegdyś ogrodnika u znajomych swoich; przyjął on obowiązek pilnowania samotnego, na ustroniu położonego domu, którego właściciele wyjechali za granicę. Latem zajmował się ogrodem, siał, sadził, gracował, ale zimą brakło tego zajęcia. — Jakże tu czas wam schodzi, ojcze Antoni?—zapytał go raz poeta, a on uśmiechnął się łagodnie. — Nudzę się... rzekł, nie umiając, czy może nie śmiać, powiedzieć:—Smutno mi jest.. a pytający widział, że mówi to spokojnie, bo przyjmował rzecz, jak konieczność nieuniknioną—jak deszcz, mróz, zawieje jesienne, jak coś, co w jego położeniu zmienionem być nie mogło, i dlatego nie szarpał się daremnie. Tak trzeba w życiu brać starość i wszystko to, co ona niesie ze sobą, a kto chce, aby nie była to dlań porachłódów i szronów samych, niech jej nie pozwoli zatruć się pesymizmem, który jest negacją dobra i piękna, niedającą nam korzystać z darów losu i pu-

stoszącą nam duszę niewierną do wszystkich i we wszystkim.

Legouvé kreśli tu obrazek bardzo smutny. Był raz na wsi. Chodząc po wspaniałym sadzie z jego właścicielką, ujrzał szpaler brzoskwiń, okrytych przepysznym owocem, dojrzewającym w złotych promieniach słońca, i nie mógł powstrzymać wykrzyku nad tem bogactwem natury; ale towarzyska jego, popatrzawszy chwilę na brzoskwinie, rzekła: — Będą się psuć, bo widzę już plamkę na jednej... a on z żalem spojrział na mówiącą. Wobec tak zdrowego piękna wyrokować o jego zagładzie dla jednej skazy, co za nieszczęśliwe usposobienie!—ikto z doświadczenia życia wynosi tylko nieufność, wzrok na złe strony życia tego jedynie otwarty, ten tak zatruje sobie każdą godzinę szczęścia iż nie zakosztuje nigdy rozkoszy, którą wiara i nadzieja niosą ze sobą. Nawet wtedy, jeżeli życiennasze było boleścią i zawodem, niewolno nam jest wyroków takich wydawać, bo my to może nie umieliśmy sobie szczęścia znaleźć—szukaliśmy go źle, lub mieszciliśmy je w rzeczach zawodnych i nietrwałych, pozornie tylko uszczęśliwiających. Jest przepiękny wiersz Asnyka: „Nie mów!” który pesymistom tego dowodzi.—Choćbyś miał ginąć z pragnienia, nie przecz istnieniu źródeł, bijących pokrzepiającą życie wodą, bo to ty może ubiegałeś się za złudzeniami pustyń i ominałeś strumień, spokojnie płynący na łące zielonej... tyś odwrócił się od miłości prawdziwej, w pogoni za błędnymi jej ognikami dążący — tyś nie potrafił zdobyć sobie w życiu tego, co nie jest zwodniczą marą szczęścia: nie potrafiłeś dać szczęściu temu stałej jego podstawy... Legouvé czyni też na tej zasadzie zimowym kwiatem życia podniesienie się nad smutny stan zgorzkniałego na życie poglądu i jest w tem więcej, niżeli zachowanie własnego szczęścia — jest niezatraczona wiara w Boga — jest nadzieja, wiodąca ludzi w stronę skarbów życia, którą daje im dobro w samym dobra poszukiwa-

niu. Legouvé w krótkim tym obrazku pominął jedną ważną przed pesymizmem uchronę: uwagę, że choć życie całości szczęścia nie daje, dać może tym, którzy na nie zarobią, choć część jego, choćby jeden piękny, soczysty owoc, który dobrze dojrzał w promieniach światła ciepłych!

Cóżby to było gdyby nikt z miłośników brzoskwiń nie chodował ich w sadach swoich z powodu nietrwałości? Gatunek-by zaginął i ludzie-by utracili kroplę słodyczy, jaka z tego źródła im płynie. Trzeba ludzkości wyciągać ramię ku ideałowi szczęścia, choćbyśmy nie widzieli tuż przed sobą całej jego miary pełnej. Z usiłowań wszystkich w zabiegach o szczęście, tworzy się go summa pewna, powiększająca się przez doskonalenie dróg do niego wiodących, i nie ginie idea szczęśliwości, potrzebna, aby tkwiła w piersi ludzkiej. Kto z nadziei szczęścia abdykował, akt zrzeczenia się szczęścia nietylko dla siebie podpisał, ten ujął światu coś siły, chcącej szczęście z krainy nadziei na ziemię pomiędzy ludzi sprowadzić, i sędziwy poeta Francji ma słuszną, gdy zgryźliwość ludzi, rzucających cień smutku wkoło siebie, nazywa zatrutym korzeniem pesymizmu i woła, że nie da mu nigdy gruntu w sercu swoim, w którym chce uchować zawsze „le culte de l'Espérance!...“ Powinni ludzie zdobywać się na spokojne powtarzanie za poetą: — Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał odnaleźć w życiu, jest marą zwodniczą...

Wiara w postęp—to może najwładniejsza wspomniemy zimowych kwiatów naszego istnienia, a ma on piękność wspaniałą, bo nie wykwita nigdy tam, gdzie pierś jest ciasna, przez egoizm zwięziona, a wzrok krótki, niezdolny dopatrzeć nauki, płynącej z dziejów ludzkości. Wykształcalność człowieka—to podstawa, na której się opiera cały ruch ludzkości w przyszłość. Lubbock zaliczył wychowanie, edukację, do rozkoszy życia z tej właśnie przyczyny, bo niewątpliwie rozkoszą to jest czuć, że stajemy się lepszą, wyższą istotą, do lepszych, wyższych celów życia dążącą i torującą tu drogę innym. Mieć przekonanie, że tak jest, to ukoić w sobie wszystkie obawy, niepokój serca, kochającego jakiś ideał szlachetny, wołając:—Dojdziemy, dojdziemy do niego... Nadzieja w postęp towarzyszy zwykle młodości, która się rwie do życia z zapalem gorącym. —Młodości! ty nad poziomy wylatuj!... wola poeta wielkiej duszy i pociąga za sobą szeregi entuzjastów, a piękny to widok takich uniesień młodych, rwących się do takiej pracy życia; ale niemal piękniejszym jest obraz starca, który wierzy w postęp przez uszanowanie godności człowieka, przez miłość ludzkości. Legouvé spojrzął na wspaniałą różę stulistną, obok skromnej, pojedynczym kwiatkiem rozwijającej się różyczki polnej, i stanęła mu przed oczyma wielka siła wykształcalności, rządząca światem. Pójdzie on coraz dalej... ludzkość ubogaci się w piękności i przymioty, których zarody ma w sobie przez Boga pod sercem złożone i uspakaja się ten człowiek sędziwy. Kto egoistycznie zamyka się w miłości własnej, choćby rozszerzonej do pokolenia współczesnych swoich, ten nigdy do takiego ucieszenia się duchem nie przychodzi i wiara w postęp to uszczęśliwienie się przez najdroższe dla uczciwego człowieka strony jego uczucia. — Nas nie będzie, ale lepiej będzie tym, co po nas nastąpi! Urzeczywistnią się idee, ku którym wyciągaliśmy ręce... Człowiek, który w postępie widzi, nie materialne używanie własne, ale rozkwit dobra i piękności na świecie, tak czuć może jedynie i dla tego to szlachetnym jest ten sędziwy, który ma wzrok na ten przedmiot myśli wyteżony. Jeżeli niesamolubnie chodził on koło pracy życia, starość jego nie będzie posepnie zamroczona i usłyszy on jak ociemniały król-kapłan, chór niebianek, odzywający do niego: ¹⁾.

— Jeżeli

O przyszłe losy świata dręczy się obawa,
Jeżeli ci o prawdę twoich natchnień idzie,
A niezmienną nędz ludzkich bólem cię napawa,

To pociesz się, śmiertelny!... Cel, co wam jasnieje
W mgłach przyszłości, ten nie jest złudzeniem

[zwodniczem
Nie napróżno Niebiosa dały wam nadzieję
I szlachetne pragnienia, niezgaszone niczem.
W ciągu wieków, wśród ciągłych zmian i przeo-
[brażeń,
Coraz więcej świat boskich przyswaja promieni...

Tosamo mówi ziomkom swoim Legouvé: — „Natura daje nam kwiaty pojedyncze, my czynimy z nich sobie kwiaty pełne... Otrzymujemy obdarowania, a naszą rzeczą jest uczynić z nich przymioty i dzieło człowieka uzupełnić powinno łaskę Boga“...

Cała tajemnica, tak postępu, jak szczęścia człowieka zamyka się w tem współdziałaniu jego z łaską bożą; Kościół Chrystusowy nakazuje nam to jako obowiązek, dążący do ubogacenia nas w te środki, przez które zdobywamy pełny rozkwit istoty naszej w jej wyższych wlotach ku górze.

I godzi się nam stać przy życiu, jeżeli to życie użytecznym jest i na cośkolwiek komuś pomocnym. To może najwspanialszy kwiat zimowy. Legouvé ma znajomego, który jest ze starości niewidomy, głuchy i zaczynający tracić pamięć, a rzecz to dlań najokrutniejsza, że czuje to i wie, jak staje się niedołężnym. Widok tej ruiny człowieka, świadomej upadku swego, przejął poetę wzruszeniem bardzo bolesnym. Myślał o nim, żał nad losem takim przenikał go głęboko, i w rozmyślniach; jak ciężkiem musi być istnienie takie—napisał wiersze na temat: „Nie przed śmiercią to, lecz przed życiem czuję trwoję“. Lecz gdy odwiedził wkrótce potem biedaka i został go jeszcze w nędzniejszym stanie przez przebytą świeżo chorobę, dziwnie zabrzmiały mu w uszach słowa, które z ust jego usłyszał. Nieborak... lękał się umrzeć bo pobierał pensją dożywnią ostatnich już gwardzistów Napoleona i śmierć jego pozabawiła-by niebogata rodzinę tego dochodu. Legouvé skłonił głowę przed tym starcem, w którym nie było to prostą obawą śmierci, bo szedł on kiedyś śmiało na armatę. Kto z życia uczyni sobie placówkę jakąś, powinien o życie to dbać i pielęgnować je przez miłość tego, czemu jest ono potrzebnem, dla czego jest użytecznym. Ze to, na zaszczyt ludzkości, jest silnym węzłem przywiązującym do bytu istoty szlachetniejszej, które widzą w życiu coś więcej, niż własne istnienie na ziemi, dowodzi nam fakt niezaprzeczony, że materyaliści, ludzie bez uczuć i wierzeń idealnych, najłatwiej, najprędzej uciekają przed cierpieniem życia w niebyt, jaki widzą poza istnieniem tu swoim. Statystyka i historia dowodzą tego.

Piękność natury, odczuwana przez osobistości z ziarenkiem poezji w duszy, to jeden z żywiołów uszczęśliwiających istnienie nasze. Legouvé mieści tu i te różne zamilowania, które się ztąd wywiązują: hodowanie pięknych roślin naprzykład. Ktoś może powiedzieć, że to małostkowość wszystkie amatorstwa tego rodzaju, ale on odpowiada, że niemniej przynoszą one niejednemu ludzkiemu życiu przyjemność niewinną a zajmującą wdzięcznie,—wnoszącą w codzienną prozę życia pewną poezję, jakgdyby sielanki prostej a spokojnej. I to coś warto, zwłaszcza, że bywa to nieraz obroną przeciwko czczości istnienia, które opiera się całkowicie na realizmie życia, wprężonego w pracę, poświęconą wyłącznie zarobkowi na chleb powszedni. Legouvé odpowiada tym, którzy z góry traktują owe upodobania maluczkich, słowami Fenelona: — „Bóg wie, z jakiej gliny nas ulepił i lituje się nad biednymi dziećmi swemi...“ Ze często zamilowania takie stają się kwiatami zimowymi ludzi cichego ducha, to też ma wagę swoją — dobroczynną jest opatrność natury.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Odkrycia, czynione przez Europejczyków w zachodniej, z Egiptem graniczącej części Sudanu, zaczęły zwracać uwagę władców tej krainy: zaczęły wywierać wpływ, pobudzający ich do rozszerzenia w tym kierunku posiadłości swoich. Między 1854 a 1863 r. panujący tam Said Basza, a następnie dziś żyjący, ale tronu pozbawiony Izmael Basza od 1863 do 1879 r. posuwali stale granice swoje w głąb tamtych okolic z zamiarem utworzenia nad Górnym Nilem i jeziorami, które przepływa, potężnej kolonii, mającej rozszerzyć czasem panowanie Egiptu nad całą tą połączoną Afryki. Między 1872 a 1874 r. zdobyto Nubią i krainę Darfur, ale inne, doskonalsze podbite tych krain, zlanie się ich z Egiptem powinno być dokonane na innej drodze — na drodze spokojnego podboju: przez namiestników kedywa Egiptu, władających krajem z jego ramienia i rozszerzających wkoło siebie wpływy cywilizacyjne. Pewne promyki oświaty, pewien zasiew kultury obyczajowej dostawać się tam mógł aż dotąd tylko przez zetknięcie z okrutnymi łowcami ludzi, Arabami.

Baker Basza był pierwszym chrześcijańskim, przez kedywa Egiptu ustanowionym, gubernatorem prowincji Równika, rozciągającej się aż po wody Albert Nyanza. Po nim, w 1876 r. objął urząd ten Gordon, mając przy sobie, jako lekarza wojskowego, Niemca rodem ze Szlązka, z Opola, D-ra Schnitzera, którego potem uczynił następcą swoim, gdy w 1879 otrzymał wielkorządztwo Sudanu i wyjeżdżał tam dla zamieszkania w Kartumie, gdzie znalazł śmierć męczeńską w czasie poburzenia ludności przez Madhi'ego. Dr Schnitzer — Edward Schnitzer, urodzony w 1840 r. przebywał już w Afryce lat jedenaście; poprzednio jako lekarz jakiegoś tureckiego baszy żył lat dziewięć na Wschodzie: w Armenii, Syrii, Arabii, mieszkał też czas jakiś w Konstantynopolu, umiał po turecku i arabsku, miał zatem pewne dane do przeprowadzenia lepiej, niż kto inny dzieła kolonizacyjnego w jego wyższym, cywilizacyjnym znaczeniu, i przez trzyletnie rządy swoje zdołał uczynić tu tyle na drodze spokojnego działania, że jakkolwiek niewolnictwo i trzymanie niewolników nie zostało prawnie zniesionem, handel jednak niewolnikami prawie ustał, zasoby kraju w nieznanym dotąd sposób zostały spożytkowane i plemiona murzyńskie, ulegające tylko sile, teraz zachowywały się spokojnie, zaczęły pojmować znaczenie stosunków międzyludzkich i ład życia społecznego.

Rewolucja Arabi'ego Baszy i następnie powstanie ludności, sfanatyzowanej przez Madhi'ego, Mohammed Achmeda, w 1882, zmusiły go do przyjęcia pewnego udziału w walkach, które jednak nie zdołały uratować Sudanu. Kiedy angielsko-egipska armia Hicks Baszy została rozbita, kiedy wszystkie prowincje Równika prawie bez żadnego oporu poddały się sfanatyzowanym przez Madhi'ego derwiszom, tylko jeden Emin Basza zdołał się utrzymać najdłużej, jakkolwiek officerowie egipscy zdradzali, między żołnierzami szerzyło się zbiegowstwo, a w stolicy prowincji, w Lado, gdzie się trzymać należało, zaczęło braknąć żywności. Raz ostatni w 1884 r. parowiec rządowy zdołał przedostać się do niego z Egiptu.

Emin Basza, podobnie jak Anglik Hicks, wziął maskę mahometanizmu dla dopięcia planów ambicji swojej. Uczynił to jeszcze będąc w służbie tureckiego baszy w Trebizondzie, a przybrane imię: Emin, znaczy „wielce wierny“ — był przecież wielce wierny tylko powziętemu planowi życia, jak świadczy list jego, pisany do siostry z Trebizondy w 1871 r. — „Nie lękaj się... Nie sturczyłem się bynajmniej; nie przestałem być dobrym chrześcijaninem“...

1) Asnyk.

W pierwszych dniach 1885 r. padł Kartum i tam-to zginął męczeńsko Gordon, szlachetna, bohaterka natura, a choć w tym samym roku umarł w Kartumie jego zwycięzca, Mohammed Ahmed, następca przecięt jego, Mahdi Abdallah, stanął na czele tłumów mahometańskiego barbarzyństwa, łaknącego mordów i zagłady chrześcijańskiej cywilizacji, chrześcijańskiego społeczeństwa Afryki. Dlatego Emin Basza, mimo swego muzułmaństwa miał ich przeciwko sobie, dlatego i on, mimo apostazy, wspierał wszelkimi siłami misję chrześcijańską w Sudanie i przez cały czas rządów jego w powierzony mu prowincji doznawały one najtroskliwszej z jego strony opieki. Chwali się przytem w dzienniku swoim, że przez cały czas rządów w Lado „muzułmanie nie zdołali dokonać dziesięciu nawróceń.“

W dzienniku też owym i we zbiorze jego listów, wysłanych w Londynie w 1889 r. (Emin Pacha in Central Africa — a collection of his Letters and Journals) dowodzi, że rozszerzone w Afryce podboje Egiptu są najskuteczniejszym i może jedynym środkiem cywilizowania Afryki, przeciw nie przez zapanowanie tam islamizmu. Jedynie misjonarze chrześcijańscy — pisze w tym dzienniku — są zdolni wyrwać Afrykę z otchłani barbarzyństwa i nędzy. „Misjonarze najpierw, a potem podróżnicy.“

Na ostatnich kartach dziennika, z których wieje teraz silny, głęboki smutek, wyraża to samo zdanie. Pragnie dla Afryki misji, ale nie tych, jakie działają tam najwięcej i z jakimi spotykał się najczęściej w prowincji swojej. Nie anglikańskich, ale katolickich, urządzonych tak, jak to czynią misjonarze francuzcy w Bagamojo. Nie chce stanowczo dla Afryki misjonarzy angielskich, o Niemcach wyraża się szyderczo i pisze: „Nasi Niemcy... czyż myślicie, że mają oni pieniądze na podobne rzeczy?“ Nie widzę też na przewodzącą na tem polu pracy nikogo więcej nad monsignora de Lavigérie... A gdybym napisał do niego? Ze wszystkiego, co o nim wiem, widzę, że człowieka jego charakteru potrzeba mi tu było na współdziałacza. Ach! jakże pragnąłbym posiadać jeszcze przed śmiercią pewność utrwalenia tu mego dzieła! Jakże czułbym się szczęśliwym, oddając je w ręce ludzi, którzyby zrozumieli, którzyby pokochali ten kraj i jego ludność w sposób, jakiego ani pojmować, ani odczuć nie może jakiś szanowny bej, którego postawią tu kiedyś na mojem miejscu“...

W 1886 r. Dr Junker opuścił Afrykę i przywiózł do Europy wiarogodne wieści o położeniu Emina. Od tego czasu nadeszło też kilka własnych jego listów, w których pisze, że na stanowisku w stolicy swojej, obecnie Wadelai, utrzymać się chce, ale potrzebuje pomocy.

Natura to inna, niż Gordon. Nie entuzjasta-to z duszą poetyczną; realizm jest gruntem jego charakteru, ale charakter ten silny, wola mocna, i to daje mu oparcie potrzebne wśród walk z losem. Uczony przychodzi też z pomocą człowiekowi. Przy ustąpieniu z Lado, gdzie oficerowie egipscy zdradzali, gdzie zbiegowstwo żołnierzy zmniejszało codziennie siłę załogi, gdzie wreszcie zaczęto cierpieć głód, bo ludność okoliczna przestała dostarczać żywności, on zajmuje się gorąco zbiorami zoologicznymi, które pracownicy gromadził przez lat kilkadziesiąt, troszczy się o zielniki — lęka się o utracenie tych skarbów drogowych dla nauki. Przecież nie uchodzi ku północy, gdzie byłby bezpieczniejszym, ale przeciwnie posuwa się dalej na południe, a to zarówno dla celów naukowych, dla prac naturalisty, jak z przywiązania do tej rzeszy czarnej, której może jeszcze dać jakiś promyk oświaty, którą może jeszcze coś podnieść nad stan barbarzyństwa i ciemnoty pierwotnej. Jest też kochany bardzo przez ten tłum murzyński, który jest dziki, ale nie zły — jak się przekonał.

Dr Junker wskazał trzy drogi, któremi można dotrzeć do Emina: przez Nil, przez Zanzibar, lub przez Kongo. Droga Nilem była zamknięta przez sfanatyzowane tłumy Mahdi'ego. Chcąc od wschodnich wybrzeży Afryki przebieierać się północną stroną Wiktorya Nyanza, trzeba było staczać nieustanne walki ze srogimi, dzikiej natury hordami pokolenia Massai, przytem strony

te nie obfitują w potrzebną dla wyprawy żywność. Południowa strona jeziora przedstawia podobne niebezpieczeństwa. Społeczeństwa murzyńskie Ugandy i Unijory dzikie są i drapieżne. Trzecia droga, środkiem między Kongo i jeziorem Albert Nyanza najdłuższa jest, ale najbezpieczniejsza i ta została też wybrana przez Stanleya, gdy właśnie trzy lata temu puścił się śmiało na pomoc Eminowi.

Wielu było takich, którym uznanie dla tego, zestawionego samotnie wśród dzicy afrykańskiej uczonego, wytrwałego człowieka, podnosiło pierś współczuciem. Radzono, pisano, tworzone komitety, zbierano składki, ale trzeba było energii i szybko działającej stanowczości Stanleya, aby dobre chęci stały się czynem. On-to angielski komitet ratowania Emina ostatecznie zorganizował i w ruch wprowadził, on stanął na czele wyprawy, która mu pomoc niosła i d. 21 Stycznia 1887 Stanley z Anglii wyruszył, obierając sobie drogę na Egipt i Zanzibar. Tu sobie zwerbował ludzi, mających tworzyć jego orszak podróżny a który w całym składzie swoim liczył 737 Czarnych i 9 Europejczyków. Oplynieo Przylądek Dobrej Nadziei i d. 24 Lutego dostano się do ujścia Kongo. D. 18 Marca puszczono się w górę rzeki na czterech parowcach i kilku łodziach; d. 28 Maja dotarto do ujścia rzeki Aruwimi, puszczono się nią, aby tą drogą wodną na wschód płynąc, dostać się do krainy wielkich jezior, do Nilu — do Emina.

Droga wybrana przez Stanleya nie wydała się najprostszą niektórym z obserwującym ją zdaleka. Posunięto się tak daleko, że człowiek, który całą młodość swoją poświęcił dla celów nauki, rozszerzenia dróg cywilizacji, został dotknięty podejrzeniem, że ukrywał jakieś tajemne i osobiste plany, zwłaszcza, że w Zanzibarze spotkał się z dawnym podróży swych i wypraw towarzyszem, Tippto-Tib, Arabem, najbardziej wpływowym kupcem we wschodniej Afryce. Obecnie okazała się, że podejrzenia były niesłuszne i małołudznie na dzielnego podróżnika rzucane. Jeżeli obok ocalenia Emina miał jeszcze jakieś inne zadanie na myśli, mogło to być jedynie owo znalezienie drogi, która-by środkowe okolice Kongo z morzem, to jest z Nilem, połączyła. Tylko dopływ jakiś z prawej strony Kongo mógł być tym poszukiwanym przez Stanleya środkiem komunikacji; okazało się nim rzeka Aruwimi, jak Stanley przypuszczał i bezinteresowność jego, czystość jego zamiarów wysła jasno i czysto, nad poniżającą go przypuszczenia podniesiona.

W miejscu, gdzie strumień rzeki Jambuga wpada do Aruwimi, d. 20 Czerwca 1887 r. wysiadł Stanley na ląd i urządził tu obóz obwarowany okopami, gdzie 257 ludzi pod dowództwem majora Edmunda Bartolet'a umieścił. Tippto-Tib został tu z nim, jako dodana im straż i opieka, bo major Bartolet kraju i jego obyczajów nie znał: i oto wykazała się teraz przyczyna, dla czego Stanley Araba tego w Zanzibarze szukał, dla czego brał go ze sobą. On sam z 5 Europejczykami i 389 krajowcami wkroczył d. 28 Czerwca w nieznaną dotąd żadnemu białemu człowiekowi okolice nadbrzeży Albert Nyanza i rzeki Itury. Od tej chwili, aż do 1888 r. zatem więcej, niż przez pół roku, nikt nie zasłyszał o nim i jego towarzyszach nic, i zaczęły się też rozchodzić wieści niepewne i fałszywe, wedle których podsuwano Stanleyowi rozmaite zamiary i plany dwuznaczne. Były nawet takie pogłoski, że Stanley wraz z Eminem chce Sudan na własną rękę zdobyć. Rozeszła się następnie wieść smutna o śmierci Stanleya, aż w Grudniu 1888 r. doszły do Europy wiadomości, których on sam udzielił. Wyprawa według założonego sobie celu dążyła do Emina, ale drogę tę odbywała dwukrotnie, tam, i napowrót, nie mogąc dać wieści żadnej o sobie, ponieważ major Bartolet został przez zbuntowanych towarzyszy swoich zamordowany. Podzielenie wyprawy na dwie części miało cel swój ten, aby przesyłka, którą z Europy dla Emina wieziono, a którą tworzyło 600 pak, nie obciążała trudnej i niepewnej drogi pierwszych poszukiwań. Tylina część wyprawy została na straży przy pakach i wyruszyć miała dopiero wtedy, gdy droga pewna już i najbliższa została wytkniętą.

Było to dobrze, przezornie pomyślaną rzeczą, gdyby tylko major Bartolet nie był został zabitym i orszak jego podwładnych nie rozproszył się. Stanleya pochód wzdłuż rzeki Aruwimi, aż do Albert Nyanza, trwał, 160 dni wśród silnie zacięzionego, przez wilgotny, trzęski grunt wiodącego lasu. W liście, pisanym w dniu 4 Września 1888 roku z nadbrzeży Itury do zięcia Livingstona, W. L. Bruce w Edinburgu, pisze Stanley: „W Anglii przebyłbym, co najwięcej, we dwa tygodnie przestrzeń, jaką obejmuje ten las, rozciągający się między Kongo i sawanami na zachodniej stronie Albert Nyanza. Możesz sobie wyobrazić zatem, jakie było nasze usposobienie, gdyśmy miesiąc za miesiącem przedzierać się musieli przez gęstwinę tych zarośli. Po 160 dniach drogi wydobyliśmy się dopiero z ciemności i naraz uczuliśmy się wszyscy, jakgdybyśmy padać mieli o ziemię. Wrzesień, Październik i pierwsza część Listopada (1887 r.) nigdy z pamięci mi nie wyjdą, bo wystaw sobie uciążliwości naszego położenia: zarośla nie do przebycia, osłonięte cieniem drzew wysokich na 100, aż do 180 stóp, pełne cierni i pokrzyw, błotniste potoki, niekiedy potężny strumień jaki. Wystaw sobie ten las i jego zarośla ze wszystkimi zabójcami przynależnościami: grunt, który pod nogami roi się od robaków, od owadów wszelkiego rodzaju, wszelkich barw i wielkości. Na drzewach małpy, niesłychane głosy zwierzęce zblizka i daleka, a na planie tylnym karły hałasujące, karły z za-trutemi strzałami, i olbrzymy przedpotopowe, z przeklęciem ostremi pikami. Do tego codziennie deszcz sprowadzający febrę i katary, powietrze przesiąknięte wodą; nieprzejrzane, zaledwie pojąć dające się ciemności w nocy, a w dzień mrok, nigdy przez jasność słońca nierozświecony. Przedstaw sobie to wszystko razem, a zaledwie zdołasz wyobrazić sobie do pewnego stopnia ciężkie położenie, z którym walczyć musieliśmy od 28 Czerwca 1887. Najgorszą rzeczą, wśród tego wszystkiego były karły, zwane Wambutti. Zwierzęta są tu także tak nieopisanie dzikie i straszne, że polowanie nie przynosi żadnej przyjemności“.

(Dokończenie nastąpi).

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GA WALEWICZA

(Dalszy ciąg).

— No, no?.. a to jak? ciekawym...
— Jak?.. — powtórzył Karol błąd z gniewu i rozdrażnienia — jeżeli się będziesz dalej upierał, jak mnie żywego widzisz, wypędzę Pęczyńskiego z fabryki!

Pogróżka była silną i nie chybiła celu. Biedny chłopak zmieszał się i stanął, jak wryty, w pierwszej chwili.

— Jaktó?.. zrobiłbyś to, abyś po dwudziestu latach pracy wyrzucił człowieka na bruk z rodziną? — spytał głosem drżącym, niepewnym, spoglądając na Karola z mieszaniną zdziwienia i niedowierzania.

— Jeżeli mnie do tego doprowadzisz, zrobię to z pewnością.

Krzysioowi twarz się dziwnie zmieniła, jakiś bolesny grymas skrzywił mu usta, które drgały kurczowo w samych kąciakach.

Dwaj bracia patrzyli sobie w oczy badawczo i wyzywająco zarazem.

— Ty zrobiłbyś to?.. pod słowem honoru? — spytał raz jeszcze Krzys z naciskiem powoli, głosem niższym.

— Niech ci moje słowo wystarczy, — odrzekł Karol tonem, który nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości.

— To zrobiłbyś podłość! — szybko odrzucił młodszy brat, i spojrzawszy na niego jeszcze raz śmiało w oczy, nie zrażony groźnym marszem, który wystąpił na czoło Karola; potem, nie czekając odpowiedzi, zacisnął czapkę na głowę i wyszedł.

Tak się skończyła rozmowa, która pierwszy raz poróżniła obu braci i stosunek ich naprężyła.

Karol nie mógł ochłonąć z wrażenia, jakie na nim pozostawiły ostatnie słowa Krzysia; nie poznawał tego dobrego, potulnego chłopca, który sobie nie pozwalał głosu podnosić przy nim i ulegał mu zawsze bez oporu, bez szemrania, bez jednego słowa uwagi, na wszystko odpowiadając zwykle stereotypowo:

— Dobrze.

Musiały być ważne pobudki, które rozkiełzały tak nagle tę braterską pokorę i dobroduszość.

— Ten osioł kocha się chyba! — wybuchał w końcu Karol, stając na środku pokoju, po którym się przechadzał wzburzony, w rozmyślaniu nad szczegółami rozmowy z młodszym bratem.

Widać było, jak głęboko dotknęło go przeświadczenie, że natrafił na przeszkodę, której się nie spodziewał, i że zanoszący się na walkę z młodym uporem, który do buntu podlega jakąś szalona miłość.

— Zwaryował! — powtarzał sobie w myślach — tegoby jeszcze brakowało, żeby został zięciem Pęczińskiego!..

Dużo potrzeba było czasu, aby fizjonomia jego przybrała swój zwykły wyraz powagi i spokoju niczem nie zmąconego.

Z rozmyślań kłopotliwych wyrwał go Janek, który we drzwiach zameldował:

— Powóz powrócił, proszę pana dyrektora.

— A pana Pęczińskiego jeszcze niema?

— Nie panie dyrektorze.

— Powiedz mu, żeby do mnie przyszedł jutro koło dziesiątej.

Wdziął futro i, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, zeszedł na dół, nie zajrzawszy ani do kantoru, ani do fabryki.

II.

U młodszych państwa.

Pan baron Turnau, przez dzieci Karola Turturkiem nazywany, należał do rzędu przyjaciół domu i był kolegą starszego Fatta.

Poznali się kiedyś zagranicą, bawili razem jakiś czas w Paryżu, a po powrocie odnowili stosunki i zacieśnili węzły przyjaźni przez częstsze obcowanie.

Obaj byli mniej więcej w jednym wieku, to znaczy, że, jak na kawalera, pan baron miał za sobą już pewną przeszłość, która pozostawiła niejaki ślad w jego przerzedzonej nieco czuprynie, w drobnych zmarszczkach około pięknych, ciemnych oczu, spoglądających powłóczęsto spod długiej rzęsy i w zapatrywaniu się na świat w ogólności, a na kobiety w szczególności.

Smukły, o zgrabnych, dystygnowanych ruchach, wytworny w manierach zarówno, jak i w ubiorze, sprawiał odrazu wrażenie człowieka lepszej sfery, przyzwyczajonego do obcowania ze światem między salonem a klubem; piękny, pokrętny wąż oceniał mu kształtne usta, pod którymi zlekka kędzierzawił się mały kneblik, a jakby w przydatku do tej męskiej ozdoby twarzy, króciutkie, złotawe baczki uzupełniały zarost pana barona, spływając się ze starannie trefionymi włosami, narzuconymi na czoło.

Rysy miały cechy arystokratycznego pochodzenia.

Baron należał do tych okazów prawdziwie pięknych mężczyzn, którzy udają zwręcznie, że im na ich piękności nie zależy, ale wszelkimi środkami starają się ją uwydatnić i podtrzymać.

Woniejący zawsze, wyświeżony, ubrany według ostatniej mody, sprawiał wrażenie salonowca w najlepszym znaczeniu tego wyrazu.

Widziano go w najpierwszych towarzystwach, na balach, rautach, w klubie, na wszystkich premierach w pierwszym rzędzie krzesel, kręcącego się w kółkach *high-lifu* i plutokracji, bywającego „w świetle“, żyjącego na stopie dość szerokiej, choć nie zbyt dużej.

Mówiono o nim, że będzie kiedyś spadkobiercą ogromnej fortuny po starej ciotce, która mu wypłacała za życia rentę; inni utrzymywali, że sam posiada znaczny majątek w gotówce, a jeszcze inni — takich nigdy nie brak — wzruszali ramionami i na ucho w zaufaniu powtarzali plotki, iż pan baron nic nie ma, żyje z dnia na dzień i szczęśliwie tylko grywa w klubie.

Złe języki nazywały go ptakiem niebieskim.

O jednym wiedziano tylko na pewno, że nie ma długów i od nikogo nic nie pożycza.

Zyli z nim wszyscy, nie bardzo wchodząc w jego prywatne interesa, bo i po co?... człowiek, który tak dobrze ubierał salon, takie wytworne miał manieri, tak dobrze mówił z damami, takim wybornym kolegą był w towarzystwie mężkiem, tak umiał wszystkich sobą zająć, nie potrzebował się szerzej legitymować.

Nieraz zdarzyło się wprawdzie, że ktoś ciekawo zapytał:

— Kto to jest właściwie ten br. Turnau?... czem się trudni?..

Odpowiedź była kłopotliwą i brzmiała zwykle:

— O, to bardzo dystygnowany człowiek, jest baronem; stara rodzina, bardzo stara...

— No tak, ale co robi?

— Jaktó, co robi?... cóż ma robić?... robi to, co wszyscy.

— Z czegoż żyje?

— Ah, z czego żyje?... ma podobno majątek, czy ciotka go utrzymuje, czy coś takiego, ale co to może kogo obchodzić!.. dosyć, że bywa wszędzie, przyjmowany jest w towarzystwie. U hrabiny Adamowej zwykle prowadzi tańce na balach...

— A, prowadzi tańce u hrabiny Adamowej?..

— A jakże!.. żaden bal się bez niego nie obejdzie.

— No, to jest *vortaenzerem*?..

Takich złośliwych dowcipnisiów nie było wprawdzie wielu, ale zdarzali się; wszędzie są przecież niedowiarki z rodu Tomasza.

Ci jednak nie zdołali zepsuć opinii baronowi, opinii dystygnowanego człowieka i bardzo przystojnego mężczyzny.

Od czasu, gdy częściej, niż pozwalały konwencje, zaczął bywać w domu młodych Fattów, zaliczono go nawet do rzędu *épouseurów*; przedtem jakoś nie uważano go wcale za partyę, nie swatano z nim, zaliczano do szeregów unieruchomionej kawalerii. Ale gdy go kilka razy zobaczono w łożu, między panią Karolową a Lizą, w powozie na przechadzkę, na jednym, czy na dwóch balach tańczącego kadryla z panną Fattówną, zaczęto sobie szeptać na ucho:

— Zdaje się, że z tego coś będzie. Apcio (baron na imię miał Apolinary) coś za nadto assistuje tej małej.

I nagle wszystkim tym mamom, które go widywały dawniej przy swoich córkach, przysiadającego się do mężatek i kręcącego po salonach, przyszała spóźniona trochę reflexya:

— Apcio mógłby się ożenić!

Dlaczego to nikomu wcześniej do głowy nie przychodziło?... Bóg raczy wiedzieć — dość, że nie przychodziło.

Może dlatego, że baron, jak na młodego kawalera był nieco za dojrzały, że nigdy w tej roli nie występował i do panien przysuwał się rzadko, a kwestyi małżeństwa nie poruszał nigdy w rozmowach salonowych.

Teraz nagle zaczęto go poza jego plecami na gwałt swatać z Lizą. Spierano się nawet o to, czy to małżeństwo nie byłoby dla barona Turnaua megalansem!.. córka fabrykanta, dorobkiewicza, jakiegoś tam Fatta—*si commun*... Wprawdzie posażna i wcale ładna, no, ale zawsze na baronową!.. Jakoś to dość dziwnie brzmiałoby w niektórych uszach: Eliza z Fattów... z Fat-tów... baronowa Turnau!

Inni nie widzieli w tem nic niewłaściwego, owszem, to naturalne, sfery społeczne powinny

zbliżać się do siebie, łączyć, mieszać, uzupełniać. Czyż to pierwszy raz przemysł styka się z arystokracją, finanse z inteligencją?... na ten temat prowadzono nawet ożywione dyskusje, w których przychodziło niekiedy do zacierzenia.

Pewna garstka wiecznie niezadowolonych, wzruszała ramionami i mówiła:

— Że też ten stary, poczciwy Fatt, taki rozsądny i praktyczny człowiek, wydaje córkę za barona, i to za takiego!.. nie mógłby sobie znaleźć zięcia w swojej sferze?... Potrzeba mu włożyć między arystokracją! Zkąd mi się wzięła taka próżna ambicja!..

Stary, poczciwy Fatt, tymczasem na oczy nie widział dotąd zięcia, którego mu podsuwano. Znał go tylko z opowiadań syna, żony i Lizy, bo wychodząc z domu bardzo rzadko, nie bywając nigdy na dużych przyjęciach u państwa Karolowstwa, nie miał sposobności poznania barona osobiście.

Dzieci nazywały go Turturkiem, a o matrymonialnych zamiarach jego wspomniano wprawdzie kilkakrotnie, ale najczęściej w żartobliwej formie, więcej dla zakłopotania Lizy, która się rumieniła na wspomnienie męża, z wyjątkiem wszystkich panien na wydaniu, i nie wiedziała co zrobić z oczyma.

Jeżeli kto miał w tej sprawie głos decydujący, to głównie Karol, któremu ojciec zaufał we wszystkim i wcale nie na żarty, choć z uśmiechem na ustach, powtarzał w obecności córki i żony:

— Jeżeli Liza pójdzie za mąż, to tylko przy pomocy Karola; on jej tam już wyszuka kogo dobrego i odpowiedniego. Ja Karolowi wierzę. Umiał sobie wybrać żonę, wybierze sobie i szwagra. *Nicht wahr*?..

Z tem pełnomocnictwem ojcowskiem Karol był główną niejako instancją dla konkurentów do ręki—no, i posagu panny Lizy.

Widywano ją wszędzie prawie pod opieką brata i bratowej, którzy zastępowali jej rodziców, niezawsze bowiem matka mogła towarzyszyć córce, a ojciec, wytłomaczony stanem zdrowia, nie ukazywał się z nimi nigdy.

Od jesieni, to jest od czasu, gdy baron zbyt częstym bywał gościem w domu przyjaciela, zaczęły krążyć pogłoski o konkurach jego; powiadano, że nadskakuje Fattównie.

W rzeczywistości zaś owe konkury, o których tyle mówiono, odnosiły się do tego jedynie, że piękny Apcio częściej przysiadł się do panny Lizy, niż do innych kobiet w salonie, że rozmawiał z nią z większym napozór ożywieniem, że przy stole zajmował zwykle obok niej miejsce, a na kilku wieczorach z nią pierwszą rozpoczęł tańce.

Wiadoma rzecz, że te pozory wystarczają najczęściej światu do kojarzenia par małżeńskich i miłosnych, i że ten świat, choć się niekiedy myli, jednak ma oko bystre podejrzliwego plotkarza, który ludzi z obowiązku i z zamiłowania podgląda; czasem za dużo mu się przywiduje, czasem się przysłyszy, ale w gruncie rzeczy, zawsze czegoś dojrzy...

W tym wypadku dojrzał też, że baron ma wielką ochotę się ożenić, choć tego, z właściwą dystygnowanym ludziom dyskrecją, bardzo nie okazywał; nie uszło też uwagi, bystrzejszych oczu, że jakkolwiek panna miała swą zwykłą minę zagadkową, obojętną, nie nie mówiącą dla ciekawych obserwatorów, brat jej uprzedzając grzecznym i życzliwym okazywał się dla swego przyjaciela, jakgdyby go niemal zachęcał i ośmielał do oświadczeń.

Było i w tem trochę słuszności, chociaż trzeba przyznać, że Karol Fatt umiał swoje tajne zamysły co do barona pokrywać pozorami, które nadały mu także cechę obojętności.

Zpod niej wszelako przebijała życzliwość; jakkolwiek nie powiedział tego nigdy wyraźnie baronowi:

— Ożeń się z moją siostrą, będę ci chętnie pomagał—to jednak z całego stosunku i traktowania siebie w domu Karolowstwa baron mógł łatwo wynioskować, iż jeśli się zdecyduje oświadczyć, będzie miał drogę do ręki Lizy ułatwioną.

żyć z holdów lub przekleństw naprzemian niesionych lub miotanych przeciw kobietom. Nawet filozofowie nie gardzili pióro swe zamienić na oręż zaczepny czy obronny, sławiąc lub poniewierając niewiastę. Niepodobna tu przypominać głównych sądów, ferowanych w ostatnich czasach przez koryfeuszów myśli ludzkiej; ale nie można milczeniem pokryć słów Schopenhauera, ponurego pesymisty, który szczególną nienawiścią zaszczycał, nie tyle kobietę, ile raczej *dame*, damę europejską, produkt głupoty ludzkiej „machineę do wydawania pieniędzy“.

Każdy tedy inaczej się zapatruje na kwestyę, która wzbudziła tylu wrogów, ilu i wielbicieli. Duch języka, charakter narodowy wytwarzają w każdym plemienu inne pojęcie niewieściego żywiołu. Dla Francuza kobieta jest ideałem, żywym wcieleniem i wykwittem cywilizacji; dla Hiszpana—według p. Varigny—jest ona świętością, dla Włocha kwiatem, dla Turka narzędziem szczęścia, dla Niemca kucharką, dla Anglika, a wrac i Amerykanina—przedewszystkiem matką dzieci i panią domu. Nigdzie zaś rola towarzyski życia nie rysuje się tak wyraźnie, jak w Polsce.... Zobaczymy teraz: jak się kobieta angielska na amerykańskiej roli rozwijała i ukształcała.

Pierwszy prąd zamorskiej emigracji wyrzucił na brzegi Stanów Zjednoczonych wyznawców religijnych z Anglii. Szukali oni zrazu tylko swobody wyznania; następnie zbudziła się w nich chęć doczesnych podbojów. Żony i córki pierwszych kolonistów znalazły się wśród niezmiernych pustkowi, dziewiczych lasów, dzikiej przyrody, z którą ucierać się wypadało codziennie. W tych warunkach kobieta czuła się, nie tylko pomocną, ale potrzebną; na jej barki spadała znaczna część wspólnego zadania: im więcej miała dzieci, tem bogatszą się stawała, dostarczając pionierów nowej osadzie. Synowie i córka dopomagali rodzicom do dzieła kolonizacji, zaludniali pustynie, zdobywali ziemię. Samotność wielkich przestrzeni budowała matkom rodu trony: przewaga ich rosła aż do znaczenia domowego królowania i władzy.

A tymczasem gorączki i zarazy dziesiątkowały dziesiątki pierwszych kolonistów. Musiał już być bardzo silnym ten, kto przeżył i przetrwał twarde początki. Przechlebione plemię zachowywało tylko dodatnie żywioły, co nam tłumaczy dziwną jędrność i siłę wyrosłego na tym zdrowym pniu pokolenia. Ale i charaktery wyrabiały się z osobliwszą mocą i hartem w wyjątkowych okolicznościach. Wśród kształtującej się nowej społeczności indywidualne zdolności musiały się pomyślnie rozwijać. Każdemu przypadało zadanie pszczoły, pracującej dla wspólnego dobra—dla trutniów miejsca nie było. Długo matka była wszystkim: rodziła, karmiła, wychowywała i nauczała dziatek. Dopiero gdy pustynia się zaludniła gęściej, pomysłało o budowie kościoła i szkoły.

Ale jedno jeszcze niebezpieczeństwo, tym razem nie pochodzące już od ujarzmionej przyrody, przyczyniało się długo do wyrabiania dziwnego hartu u pierwszych kolonistek. Zrywali się od czasu do czasu Indianie, napadali osady, zamieniane doraźnie w fortece warowne; a wtedy kobiety nie rzadko w obronie zagrożonych ognisk czynnie występowały, z rycerskim animuszem odpierając najezdźników.

Dwa główne prądy emigracyjne rozróżnić z kolei wypada. Zrazu do dzisiejszych stanów północnych przybijają wyparci z Anglii Purytanie, następnie do Południowych przybywają fanatyczni zwolennicy upadłej Stuartów dynastji, wnosząc do nowej ojczyzny żywioł arystokratyczny, dawne tradycje i szlachecką bitność. Gdy wybija godzina wyswobodzenia kolonii spod jarzma angielskiego, Południe dostarcza wszystkich niemal officerów i przeważnej liczby żołnierza. Washington i Lee, hetmani walki o niepodległość, w której uczestniczyli Puławski, a następnie i Kościuszko, byli obydwa Wirgińczykami, czyli ziemianami tej południowej Wirginii, która wydała tylu bohaterów. Po odniesionem zwycięstwie, chaotyczny ustrój społeczny zaczyna się normować i urządzić. Monroe wydaje hasło z uniesie-

niem przyjęte, aby odtąd ziemia amerykańska do Amerykanów należała, i aby koloniści raz też przestali być Anglikami lub Francuzami, lecz stworzyli typ i narodowość nową, amerykańską. Wtedy zaczyna nurtować myśl uregulowania szkolnictwa krajowego i powstają owe szkoły mieszane, w których pospołu uczą się i kształcą dzieci obojgiej płci, chłopcy i dziewczyny.

P. de Varigny dość przychylnie się o tej metodzie wyraża, upatrując w niej, co najmniej, środek złagodzenia obyczajów, bądź co bądź jeszcze bardzo surowych skutkiem twardego i trudnego kolonistów życia. I w szkole tedy dziewczynki zajmowały jakby odrębne stanowisko; przyzwyczajano się uważać je potrosze jako królowe społeczeństwa, które ich zrazu nie posiadało wiele, ztąd mali towarzysze poczuwali się do uszanowania ustalonych płci słabej przywilejów, do jakiegoś tkliwej opieki, bo nawet i rycerskiego zastępstwa w przyjmowaniu kar przeznaczonych dziewczynkom.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte złożyły się na ostateczne wytworzenie dzisiejszych Amerykanek. Czy lepsze są one od kobiet starożytności? przesądzać niepodobna. Tyle pewnego, że są zupełnie inne. Inny też był dla nich punkt wyjścia. Nigdy nie zaznały podrzędności stanowiska, niegdyś przysądzanego kobiecie w starej Europie. Dalekie wychodźstwo, udział w cierpieniach i walkach trudnego początku, wspólność wychowania na szkolnej ławie, wyrównały różnice i pasowały niewiastę na równouprawnioną towarzyszkę losów i przeznaczeń męża. Wcześniej już odnajdujemy w niej rysy charakterystyczne: swobodę obejścia się, ostrożność instynktową, sztukę pokierowania własnym życiem, świadomość swej przewagi i wartości.

Jednocześnie u mężczyzn rozwija się uszanowanie i rycerskość, właściwa zobopólnym stosunkom obojga płci w Nowym Świecie.

Wskazaliśmy: jakie czynniki wpłynęły na ukształtowanie charakteru pierwotnej Amerykanki. Ale niebawem przyrost oświaty i dobrobytu ją odmieniać powszechnie i powszednie życia warunki. Mąż, podawnemu zaprzęzony w jarzmo interesów i dorobku, nie miał chwili czasu, aby się swobodnie zająć umysłową kulturą, nie mógł się poświęcać upiększaniu domowej świątyni i podnoszeniu duchowego rodziny poziomu.

A tymczasem zwiększone dostatki zapewniały kobiecie lube wczasy. Nie potrzebowała ona już, na wzór pierwszych kolonistek, wypiekać własnoręcznie chleba dla całej czeladki, odzieży domowej sporządzać i czynnie wysługiwać się w kuchni i na roli. Zostały jej liczne chwile wolne, które wypełniła ozdobą własnego umysłu i domu. Wobec coraz rozumniejszej i powabniejszej towarzyski prostak amerykański czuł własną niższość, ale go ona nie bolała: owszem, dumnym był z posiadania podobnego skarbu, chełpił się przymiotami i kulturą górującą nad jego własnym wykształceniem, pochylał głowę przed samowładną ogniska swego panią. Niegdyś królowała ona, niby matka uli, rządnością i skrzętnością, dziś po inne sięgnęła berło: umysłowej przewagi. I oto pionier nowego świata korne przed nią ugiął kolano, podziwiając w kobiecie to wszystko, na czem jemu samemu zbywało.

I odtąd równowaga życia tak się normuje, iż mężczyzna krząta się około zarobku, przedstawia dochody, a niewiasta we wspólnie domowej staje się sprężyną rozchodu i wydatków. Mąż niczego nie żąda tej, która wdziękiem wieńczy jego trud. A istotnie wdzięk to nielada, uroda dziś powszechnie uznana.

Wszystko się złożyło na spotęgowanie piękności typu Amerykanki. Praca i trudy pierwszych kolonistów wśród lasów i przestrzeni dalekich, przejęły żywotne siły plemienia niebywałą świeżością i energią. Niebawem prąd emigracyjny coraz-to nowe zaszczeniał pierwiastki na pniu anglo-saxońskim. Zeszły się z sobą pojedyncze różnych plemion znamiona: *morbidez* Kreolek, wiotka kibić cór Erynu, żywość Francuzek, delikatność rysów Angielek, i t. d. Wspomnieliśmy już, iż śmierć przetrzebiła pokolenia pierwszych

kolonistów, usuwając wszystko co było wątpliwego. Wczesne małżeństwa, zawiązywane stale skutkiem wzajemnej skłonności, przyczyniły się do zapewnienia Stanom Zjednoczonym ludności zdrowej i pięknej, jak może żadna inna.

Autor przytacza uwagi pewnego Amerykanina o rzekomej wyższości anglo-saxońskiego plemienia ponad wszystkie inne; mnożnością wszakże przoduje ono wszystkim. Na początku bieżącego wieku Stany Zjednoczone liczyły zaledwie pięć milionów mieszkańców; dziś ich mają już przeszło 60, a nadmiarem ludności dzielą się z południową Ameryką i z Australią. Każda rodzina liczy około tuzina dzieci. Nie dziw też, iż podczas gdy np. we Francji żadnego nie znać przyrostu ludności, w Stanach Zjednoczonych liczba mieszkańców, niezależnie od emigracji, co dwadzieścia kilka lat się podwaja.

Ow Amerykanin większą część niedoborów starej Europy składał na wadliwą instytucyę posagów. W Ameryce same ładne panienki za mąż wychodzą; ułomne i szpetne, chorowite i nieurodziwe, za przeznaczania skazane bywają na staro-panieństwo, ponieważ nie posiadają, okupujących tyle niedostatków, pieniędzy. W Europie najbrzydsza panna, byle miała posag, znajduje amatora, zakłada domowe ognisko i odradza się w dziedziczącem jej szpetności pokoleniu. Plez-to razy usłyszeć można, że ten lub ów stracił majątek i zdrowie na hulankach młodości, ale troskliwość rodziców nad nim czuwa, aby mu wynaleźć jaką, brzydką jak noc, posażną jedynaczkę! Wystawić sobie można: jakie potomstwo z tego związku urośnie. A tymczasem w Ameryce serce zamłodu o przyszłości rozstrzyga.

— Inne mamy teorie matrymonialne—kończył rzecz swoją nasz Amerykanin.—Żenimy się z miłości i wszystkim nam z tym dobrze. Jeden z moich przyjaciół, milioner jakich mało, świeżo oddał rękę córki początkującemu przemysłowcowi. W dzień ślubu dał im 2.000 dolarów na podróż do Europy i ani grosza więcej. Już i to uchodziło za wielką hojność. Zięć jego pracuje usilnie, kochają się jak gołabki. Trzymam zakład, iż nie uplynie lat dziesięć, a dorobią się 100.000 dolarów i doczekają sześciorga dzieci.

(Dokończenie nastąpi.)

PIĘKNIĘTA STRONA.

OBRAZEK

przez

Zofią Hartingh.

Wicher zimowy szalał na dworze i białymi tułanami śniegu miotał po ulicach. Zpoza szronowych obłoków, żółte płomienie latarni przeświecały posępnie, przeglądając się w mętnych i napół zamarzłych kałużach, które stoki uliczne utworzyły wśród nierównego bruku przedmieścia. Ruch i gwar dzienny ustawał stopniowo i cisza zalegała ubogą dzielnicę; kiedyniekiedy tylko wiatr zahuczał głośnie, wstrząsając szybami facyatki jednopiętrowego domu, stojącego nieco na uboczu.

W izdebce pusto było i ciemno; sędziwa tylko kobieta, w czarnej wdowiej sukni, ze srebrnymi włosami nad czołem pooranem zmarszczkami, cicho krzątała się koło wieczornego posiłku, rozniecając w piecyku napół wygasły ogień, który rudemi blaskami siał się na podłogę. Wszystko dokoła zdradzało niedostatek, ale troskliwa i umiętna dłoń kobieca usiłowała osłonić go poezją czystości, tym jedynym zbytkiem, na jaki stać ubóstwo. Stojące w głębi łóżko przykryte było białą kapą; na starych, zużytych sprzątach ani śladów pyłu; a w jedynem okienku, wyrzeź-

zdołają sobie uznanie u cudzoziemców. Zaczął grać, jak się gra dla tych, którzy słuchem tylko chwytają dźwięki, a talent oceniają miarą technicznej biegłości.

Lecz za ledwie smyczkiem dotknął strun, które zęgnął dziś po raz ostatni, wydało mu się, że jękły one zalem tego roztania i jak grad łez spadł mu na piersi, buchnął z nich naraz wulkaniczny ogień natchnienia. Cisza wielka, przejmująca zapanowała w tłumie, wśród którego przed chwilą zaczęły się już objawiać pierwsze oznaki znużenia; a wśród tej ciszy dźwięki mistrzowskiej melodyi płynęły srebrzyście, unosząc się i rozwiewając w powietrzu, jak niepochwytnie marzenie, to znów wybuchają namiętną, porywającą siłą uczucia, które wstrząsało do głębi stępieniami nerwami słuchaczy.

Gdy ostatnie dźwięki przebrzmiały w powietrzu, przez chwilę głucha cisza trwała dalej. Nie spodziane wrażenie, wywarłe przez nieznanego artystę, było tak wielkie, że potrzebowano opamiętać się, zebrać myśli.

Naraz grzmot oklasków, przeciągły, entuzjastyczny, pełen niebywałego zapału, niby salwa artylleryi, rozległ się po sali. Bis! bis!—wołano zewsząd, a mężczyźni podnosili się z krzesel, kobiety ocierały oczy; gdzieniegdzie zaś podnosiły się głosy: „Drugi Pablo Sarasate... Paganini... kto on jest... z kąd pochodzi?... jak się to dzieje, że nie słyszano o nim dotąd?!“

Szmer podziwienia i zachwytu podnosił się coraz głośniejszy; urywane słowa dolatywały aż do stojącego na estradzie. Po latach upośledzenia, poraz pierwszy w życiu danem mu było zaznać pełni tryumfu. Ogarnęło go dziwne upojenie zmysłów: żar miał w piersi a lód w sercu, które rozpieierała tęsknota, bezbrzeżna jak morze goryczy. Czemuż ona go nie słyszała... nie była świadkiem jego tryumfu? ona, która niegdyś rzekła doń:—„Okryj się sławą; uczyni imię twoje głośnie światu, a wtedy pokocham cię i pójdę za tobą choćby na krańce ziemi.“

Lecz sława nie przyszła na jego zaklęcie, a ją daleko uniósł wir światowy. Imię jego nie dojdzie nigdy do jej uszu, chyba je przypadkowo wyczyta na grobowym kamieniu, który pokryje żal i tęsknicę niezrozumianego przez nikogo serca.

Zatopiony w tych myślach, ujrzał nagle purpurową, stulistną różę staczającą mu się do stóp.

Podniósł oczy i nagle drgnął całym ciałem, jakby tknięty iskrą elektryczną.

W pierwszym rzędzie krzesel siedziała dziewczęca postać, w bieli, z kruczym dyademem włosów nad czołem, z pękiem róż u gorsu. Jej to dłoń rzuciła mu w dani kwiat oderwany od łona, a drżący jeszcze od przyspieszonych uderzeń jej serca. Oczy jej, ciemne, wilgotne blaskiem rozmarzenia, płonące niby dwie gwiazdy, tonęły w nim całą siłą młodzieńczych wspomnień. Tak, to była ona... którą znał niegdyś i kochał pierwszą, jedyną miłością swego życia. Ona, która biała i wiotka jak lilia, kwitła niegdyś wśród łąk poleskich, dopóki świat nie przesadził jej do ciepłarni swojej, zamieniając skromną dziewczeczkę na wielkoświatową piękność. Ona, która porwała młodzieńcze serce jego, rzucając nań urok rusalki—którą w snach swych gorączkowych widywał zawsze majaczącą w półcieniu,—dla której pragnął sławy, bogactw i zaszczytów, by złożyć je u stóp jej, a wzamian usłyszeć jedno słowo miłości.

— Bis! bis!—wołano natarczywie, a on powtórnie schwył za skrzypce, wzrok jego strzelił zapalem; i nagle z przed oczu znikła mu sala i widzowie, światła zyrandoli i tłum różnobarwny, a z pod dłoni jego, wśląd za wspomnieniami młodości me-

lodya popłynęła, drżąc jak osrebrzone księżycem fale rodzinnego Horynia, tęskna i namiętna, jak słowicze śpiewy w noc majową, rzewna jak pieśni pastuszych fletów, rozlegające się po mchem wysłanej dąbrowie. A tony drgały stłumionem uczuciem, które spowiadało się z marzeń swych i nadziei, tryskały tęczą poezją złudzeń, perliły się niby lzy spadające z oczu, lkały cicho i rzewnie, jak dziecko tulące się do piersi matczynej, i naraz wybuchaly huraganem boleści miotającym z piersi błyskawice i grzmoty. A czarne, żarzące się oczy siedzącej naprzeciw kobiety, przykute do niego magnetyczną siłą, zdawały się żaru swego wlewać mu do duszy i przyspieszać wszystkie tętna jego żywotne, i coraz lotniejsze skrzydła przypinać jego marzeniu; purpurowa róża szeptała mu sнадz tajemnice swoje, bo lica mistrza rozjaśniły się nagle, pierś jego podniosła się, jakby wciągała w siebie szerokie technienie ukraińskich, rodzinnych stepów, wonne od dzikiego aromatu ziół i tymianków; wzrok jego zapałał, jakby chłonał w siebie wszystkie blaski słońca, które przyswiecało mu zamłodu, a pieśń, podobna do tryumfalnego akkordu, pieśń wesela i radości, zabrzmiała w powietrzu całą porywającą potęgą zwyciężkiego uczucia, całym ogniem natchnienia wybuchającego mistrzowską siłą.

Naraz ostry zgrzyt pękającej struny świsnął w powietrzu. Leon, chwyciwszy się za piersi, zachwiał się i padł w tył.

Popłoch wszczął się wśród zgromadzenia, tłumiąc głośny krzyk wyrwywający się ze zbiegających od przerażenia ust kobiety.

Przeniesiono go do bocznego salonu i śpiesznie zawezwano jednego z obecnych lekarzy. On nie słyszał wykrzykników zachwytu i współczucia; nie widział dłoni wyciągających się do niego z uściskiem i rzeźwiącymi kroplami dłoni. Z błądząciami śmierci na twarzy, a blaskiem tryumfu w oczach, z krwawą pianą na ustach a różą szkarłatną u piersi, nie wiedział nic co się dokoła niego dzieje, dopóki nie ujrzał się wśród czterech ścian swego mieszkania, do którego przeniesiono go pośpiesznie.

Lekarz wyszedł, przepisawszy receptę i spokój, a na trwożne zapytania zrozpaczonej matki dał wymijającą odpowiedź. Kolledzy i towarzysze usunęli się jeden po drugim. Matka sama pozostała przy umierającym. Z ust jej nie wyszła ani skarga, ani jęk bólu. Zdawało się, że wszystkie władze czucia zdrętwiały w niej naraz. Tylko wzrok suchych oczu, krwią nabiegły, utkwil w postaci Chrystusa konającego na krzyżu, przed którym modliła się co wieczór; i jak druga matka boleści, drgająca we wszystkich tętnach męką swego syna, trwała na swem stanowisku.

Cienie nocy gromadziły się posępnie w ubogiej izdebce, rozjaśnionej mdłym światłem przyćmionej lampy. Ale na czole konającego świtały nadziejskie jakieś blaski; usta jego uśmiechały się słodko do ogarniającego nią marzenia, a wzrok senny, rozpalony gorączką, zdawał się tonąć w ciemności szukając widziadła swego ducha, które jasne i promienne, owiane obłoczystą szatą, płynęło ku niemu z przestrzeni z wieńcem wawryznów w dłoni a pękiem róż stulistnych u łona. A on drgający namiętnem uniesieniem, wyciągał doń ręce, szeptał słodkie zaklęcia, to znów chwycił za skrzypce i wydobywał z nich rzewne tony, które zlewały się w jedno z chrapliwym oddechem pracujących z wyteżeniem piersi. Aż nagle świetlana postać powlekała się trupią błądząciami, która chłód swój rzuciła mu na piersi niby całun grobowy. Wzrok jej promienny zaszklili się martwotą śmierci, a z pod białej osłony wyjrzały nagie kości szkieletu. Pęki wonnych róż rozsypały

się jakby nad niemi powiał chłód grobowy, a liście wawryznu przemieniły się w kołczate ciernie, które, tłocząc skroń jego zbolalą, strugą krwi zalały wezglowie.

Miłość i sława przeistoczyły się w groźną postać śmierci. Głuchy, stłumiony okrzyk wyrwał mu się z piersi. Głowa ciężko opadła na poduszkę; oczy przed straszmem widziadłem zamknęły się nazawsze.

Wnieszpełna kwadrans zastukano do drzwi i w progu ukazał się Frankowski.

— Przychodzę z dobrą nowiną!—zawołał ucieszony.—Występ twój na niedzielnym koncercie narobił niemało wrzawy... Zewsząd pytają o ciebie... Lekcje i zaproszenia posypią się gradem... Panna N., słynna piękność, którą musiałeś zauważyć w pierwszym rzędzie krzesel, przysłała pytać o twój adres... Co ważniejsza zaś dyrektor zdecydował się powierzyć ci wakuującą po Barzewskim posadę profesora konserwatorium! Chciałem być pierwszym, aby ci to obwieścić.

Głuche milczenie było całą odpowiedzią. Z cieniów podniosła się zwolna, rozkrzyżowana w boleści swej u stóp łoża, kobieca żalobna postać. Dłoń jej wskazała trupa, a z ust padł jeden tylko wyraz:

— Zapóźno!

M Y Ś L I.

— Ludziom potrzeba
Piąć się w górę, by wyrzeć oczyma do Nieba.

— W świetle grobu tajemniczem
I ból i rozkosz są zarówno niczem. —

— Świata ludzkich dusz, co płoną
I po nad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Choć się w ciemności rozproszą—nie gasną;

Miłość, jak słońce — barwy uroczemi
Wszystko dokoła cudownie powleka
Żywe piękności wydobywa z ziemi
Z serca natury i z serca człowieka.

Asnyk.

Sprostowanie.

W Nr. 3 „Bluszczu“ z r. b. w artykule p. t. „Z działu Przyrody“, na str. 23 szpalcie 1-ej wierszu 17 od góry, zamiast *elektryczność*, powinno być *elastyczność*, na tejże str. w szpalcie 2-ej wierszu 24 od góry, zamiast *natura żywa*, powinno być *nauka*.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Odtracony**, przez Reneusza Bazin.

TREŚĆ: Kwiaty zimowe. — Henryk Stanley (dalszy ciąg). — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Amerykanka. — Pęknięta struna, (Obrazek) przez Zofię Hartingh. — Mysli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści, pod tytułem: **Odtracony** przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego.—Przeгляд mód.—28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Przeгляд mód.

Ubranie ślubne w magazynie p. Herzego. — Okrycia balowe. — Kostiumy i tualety teatralne. — Suknie malowane. — Sposób czesania włosów.

Pomimo iż nie miałam już pisać więcej o balowych strojach, nie mogę pominąć milezeniem kilku tualet a mianowicie: ślubnej, widzianej w magazynie p. Herzego, Wysoki stanik i



Nr 1 i 2. Ubranie dla chłopczyka od 2—3 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 56—59.)



Nr 5. Suknia z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 8). Krój i opis pierw. str. tabl.



Nr 3 i 4. Ubranie dla chłopczyka od 2—4 lat. (Kr. i op. odwr. strona tabl. Nr VII, fig. 42—50.)

jakby z portretu zdjęte. Co do zwyczajnych nie kostiumowych tualet, to mieliśmy świeży przykład dobrego gustu: a mianowicie: umiejętnego zastosowania tualety do położenia w roli w nowo-wystawionej komedii: „Szach i mat.“ — Śliczna suknia koloru sliwkowego pani Niewiarowskiej, która nawiasem mówiąc, zawsze jest bez zarzutu



Nr 6. Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w deseń. (Opis odwr. str. tabl.)

mniejszej długości tren były z pluszu miękkiego o wysokiej barwie, imitującej gruby pokład tylko co upadłego śniegu—przód z białej faille zapelniał haftowany bukiet pomarańczowego kwiatu i gałęzi mirtowych haftowanych srebrem i złotem—na staniku wysokim klinem powtarza się ten bukiet;—cały dół z trenem otaczał biały lądzi puszek, okalając szyję i długie rękawy przy dłoni. Było to marzenie ślubnego stroju, zgodne tylko z porą mroźną i śniegiem, bo w takiej tualecie wysiąść nawet z powozu nie można w porze wilgotnej—tylko więc kaplica pałacowa lub mróz uprawniają takową. Welon, mający dziś znowu obowiązek podług praw mody zakrywać twarz narzeczonej, miał w brzegu szlaczek gobelinowym ścięciem złotem i srebrem haftowany, który obciążając swym ciężarem tiul nie pozwala mu się rozwiewać na wsze strony. Z jednego boku otwiera się welon, chcąc go na bok odrzucić, Okrycia balowe „sortie de bal“ fasonem nie różnią się wcale od zeszlócznych — wszystkie są w jasno-żółtym lub jasno-zielonym tonie bardzo suto naszyte złożoną pasmanterią na białej podszewce. Pokazywano nam także u pana Herzego białe aksamitne naszyte, ale te to już tylko dla tych śmiertelniczek mogą mieć zastosowanie co własną karetą zajeżdżają pod filary pałacowe. W pracowni p. Daleszyńskiej kostiumerki teatrów naszych, której fachową znajo-



Nr 8. Suknia z sukna i aksamitu (do ryc. Nr 5). Krój i opis pierw. str. tabl.

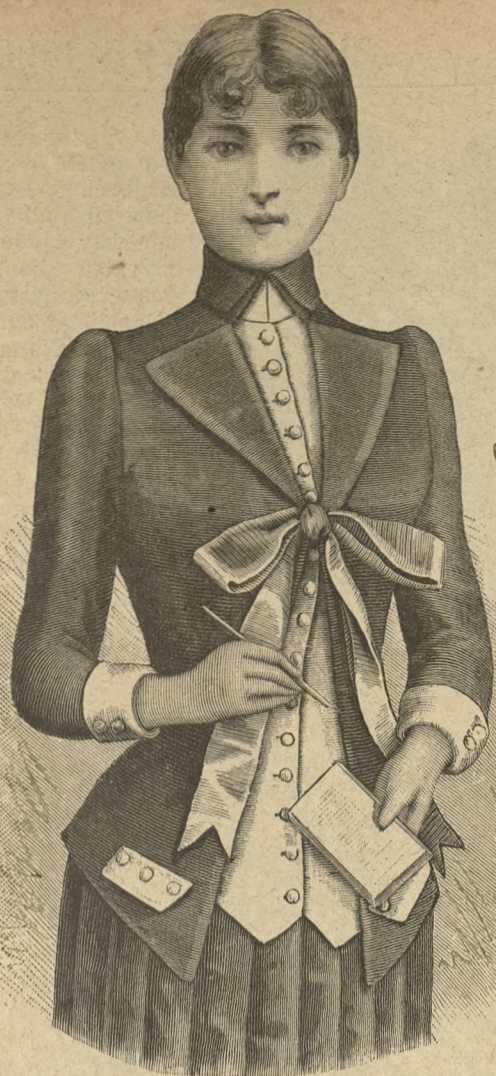
mość efektów sceny, oraz warunków tualet historycznych, mamy tak często sposobność podziwiać w teatrze, widzieliśmy kilka ślicznych tualet dla młodych panien, przedewszystkiem jednak należy nam powiedzieć, iż tualety w wyprawie Richeliego nie pozostawiały pod względem stylu nic do życzenia, cała tualeta wraz z uczesaniem głowy panny Barszczewskiej i pani Rakiewiczowej były



Nr 7. Suknia z kaszmiru i aksamitu.

ubrana, była tak właściwą dla młodej, a lub p. Ostrowskiej, której rękawy naszyte czarnymi aksamitkami, przy całej białej tualecie ślicznie odbijały, lub wreszcie cała tualeta pani Borkowskiej była wybornem przedstawieniem sposobu ubierania się kumoszek małomiasteczkowych, a jak to zręcznie wszystko obmyślane, kolor staroświecki zielonej sukni—fason—czeppek, wszystko różniło się od sposobu ubierania się pań obywaterek. — Tak, dziś teatr jest nam wzorem mody jak w Paryżu, ucząc nas zawczasu, jak przy każdej okazji ubierać się powinniśmy.

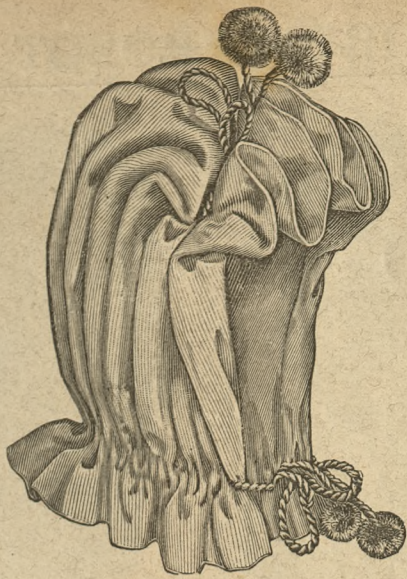
Ponieważ suknie malowane są dziś „en vogue“, więc czyniąc zadość pytaniom niektórych pań, gdzie się malują i co się płaci za wymalowanie sukni, podajemy tu adres pana Horodyńskiego, który pokazywał nam swe prace, na atlasie, surah i gazie, co jest najtrudniejsze—na gazie krepowanej arabeski żółte, cieniowane z girlandą zielonych kłosów ślicznie się przedstawiały. To co się maluje na sukni, szlak lub przód i coś do stanika, płaci się od 6 do 10 rubli, stosownie do bogactwa malatury, która się dokonywa olejnymi farbami; wiele osób sądzi, iż to są wodne farby, gdy tymczasem wodne kruszyłyby się i odszakiwały, —olejnymi trudniej, ale trwalej. Mieszkanie pana Horodyńskiego pejzażysty jest Żurawia Nr 15.



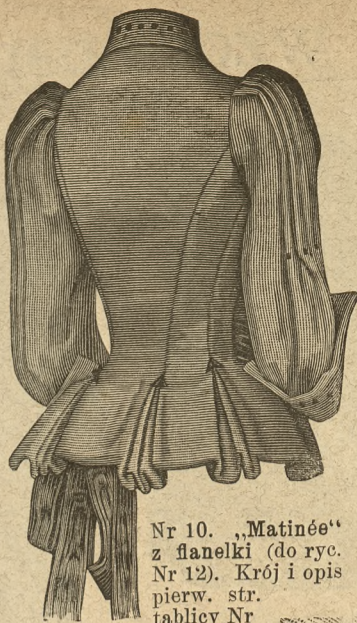
Nr 11. „Matinée“ z flanelki. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32—42).

Sposób czesania zmienił się bardzo — owe wysokie, tak bardzo do twarzy każdemu kuaifury zmieniono na niskie, z powodu braku miejsca w kapeluszach o niskich główkach. Spuszczane zupełnie włosy zowią czesaniem „à l'anglaise“, końce zawijają lekko w łoki — a z przodu albo podczesane od waźnie w górę, albo zawinięte w loczki fryzowane za pinają na ładny metalowy grzebień — do stroju kwiat płasko leżący zdoła czesanie; — należy wybierać kwiaty płaskie przy takim sposobie czesania.

L. C.



Nr 9. Kapturek z kaszmiru. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 60).

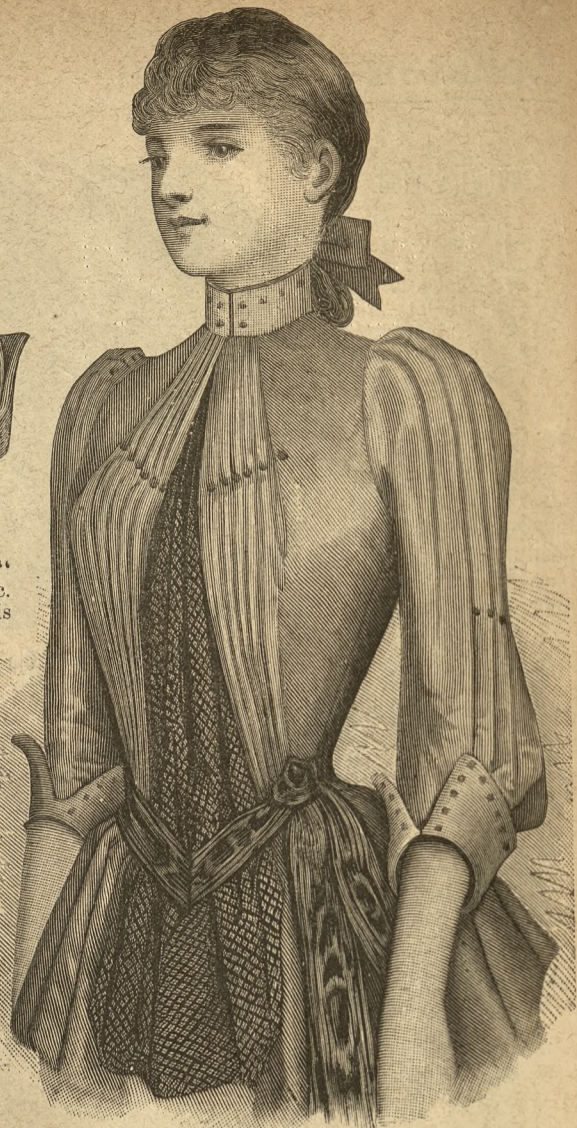


Nr 10. „Matinée“ z flanelki (do ryc. Nr 12). Krój i opis pierw. str. tablicy Nr II, fig. 11—17.

Gorset dla panienki od 12—14 lat (robotą drutową i szydełkową).

Rycina Nr 1 i 2 w Bl. Nr 3.

Gorset wykonany w 4 częściach na drutach bawełną sześćo-drutową. Zapinany w tylnej części na guziczki i pentelki wykonane szydełkiem. Górny brzeg przybrany ząbkami również szydełkiem wykonanymi. Ramionczka na drutach. Odwrotna część gorsetu zaopatrzona w tasiemeczki do wsuwania fiszbinów. — Rozpocząć od prawej połowy pleców od dolnego brzegu na założeniu 66 ocz., na których tam i napowrót wykonywać robotę.



Nr 12. „Matinée z flanelki (do ryc. Nr 10). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—17.



Nr 13. Suknia balowa z atlasu „merveilleux“. (Krój i opis odwr. str. tabl.).

Nr 14. Suknia balowa z atlasu „merveilleux“ (do ryc. Nr 12 w Bl. Nr 3). Opis odwr. str. tabl.



Nr 15. Sukienka dla panienki od 6—8 lat (do ryc. Nr 15). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr 18—28.



Nr 15. Sukienka dla panienki od 6—8 lat (do ryc. Nr 16). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—28.

1 kolej; zwyczajnie. 2 kolej: odwrotnie 3 do 16 kolei: ciągle na przemian jak dwie poprzednie koleje. 17 kolej: zebrać oczka założenia na drut, wyłożyć na odwrotną stronę pierwsze 8 kolei i przerabiać ciągle następne o. pop.zedniej kolei razem z odpowiednim o. założenia, 18 do 180 kolei: ciągle na przemian jak 1 i 2 kolej, ale od 23 do 62 kolei przypadają kliny pomiędzy 4 o. a 25 o., które wykonać jak następuje: 23 kolej: 3 ocz. odwrotnie, 14 o. zwyczajnie, 3. o. odwrotnie. 24 kolej: 3 o., 14 o. odwr., 3 o. 25 kolej; 3 o. odwr., 11 o. zwyczaj., dla zgubienia należy: 2 ocz.

zwyczaj. razem przerobić, 1 o. zwyczaj., 3 ocz. odwr. 26 kolej: 3 o., 13 o. odwr., 3 o. zwyczaj. Powtarzać 11 razy 25 do 26 kolei, zwracając uwagę na gubienie oczek. 49 kolej: 3 o. odwr., 2 o. zwyczaj. razem przerobić, 3 o. odwr. 50 kolej: 3 o. zwyczaj., 1 o. odwr., 3 o. zwyczaj. 51 kolej: 2 o. odwr., 2 o. odwr. razem przerob., 3 o. odwr. 52 kolej: 6 o. zwyczaj. 53 kolej: 2 ocz. odwr., 2 ocz. odwr. razem przerob., 2 o. odwr. 54 kolej: 5 o. zwyczaj. 55 kolej: 1 o. odwr., 2 o. odwr. razem przerob., 2 o. odwr. 56 kolej: 4 ocz. zwyczaj. 57 kolej: 1 ocz. odwr., 2 ocz. odwr. razem przerob., 1 o. odwr. 58 kolej: 3 o. zwyczaj. 59 kolej: 2 o. odwr. razem przerob., 1 o. odwr. 60 kolej: 2 o. zwyczaj. 61 kolej: 2 o. odwr. razem przerob. 62 kolej: 1 o. zwyczaj. Po zakończeniu 180 kolei odciąć oczka. Prawą połowę przedniej części należy wykonać tak samo, jak wyżej opisaną, ale klin wypada pomiędzy 42 a 63 o., gubienie zaś rozpocząć po pierwszych 3 o. odwr. i 1 o. zwyczaj., na co 2 następne oczka zwyczajnie dróżką razem przerobić. Oprócz tego w kolei od 135 do 172 włącznie przypada pomiędzy 6 a 8 oczkiem klin przedni, który wykonać jak następuje: 135 kolej: Z 7 oczka 1 ocz. odwr., dróżką przerob. 136 kolej: 2 o. zwyczaj. 137 kolej: 1 o. odwr. z następ. ocz. odwr. w 1 o. odwr., 1 o. odwr. dróżką przerob. 138 kolej: zebrane o. zwyczajnie. 139 do 144 tak jak dwie poprzednie koleje, ale powiększyć liczbę oczek. 145 kolej: 3 odwr., 1 zwyczaj., 1 odwr., z następnego o. 1 o. odwr. 1 o. odwr. dróżką przerob. 146 kolej: 3 o., 1 o. odwr., 3 ocz. zwyczaj. 147 kolej: 3 ocz. odwr., 2 zwyczaj., 1 odwr., poczem z następ. o. 1 o. odwr. dróżką przerob. 148 kolej: pierwsze 3 o. zwyczaj., 2 o. odwr., ostatnie 3 o. zwyczaj. Powtarzać 12 razy poprzednie dwie koleje, ale należy przy każdym powtórzeniu 1-ej kolei, oczka dróżką przerobione i odpowiednie tym w następnej kolei przerob. odwr. o. 1 oczko pomnożyć. Lewą połowę gorsetu wykonać tak samo, co do klinów ma się rozumieć w odwrotnym kierunku. Następnie połączyć brzegi oczek ścięciem obrzu-

cany i otoczyć w górnym brzegu ząbkami, na które ciągle na przemian 1 ścis. o. w następny brzeg oczek, 1 ząb z 5 pow. o., 1 ścis., 1 słupek w 3 i 1 z tychże i 3 brzeżne ocz. opuścić na utworzenie zębu. Następnie wykonać wzdłuż prawego tylnego brzegu na dziurki: 3 ścis. o. w następ. 3 o., potem ciągle na przemian 5 pow. o. wystawić odpowiedni przedział, 10 ścisłych o. w następne 10 o. brzeżnych. Ramionczko na 10 oczkach ścięciem patentowym jak następuje: * 1 kolej: ciągle na przemian 1 zwyczaj. dr. owinać następne ocz. przejąc w sposób, jakby się miała odwrotnie przerabiać. 2 kolej: ciągle na przemian następne ocz. zebrać na drut przerobić razem z nitką na drucie zawiniętą, drut owinać, następ. przerobione ocz. zebrać na drut od * powtórzyć.

Wachlarze.

Rycina Nr 14 i 17 w Bl. Nr 3.

Rozmaitego rodzaju wachlarze z rączkami drewnianymi, kościanymi i złocionymi, ozdobione koronką, piórami lub malowidłem, na jedwabiu lub materiałach jedwabnych przezroczystych.

Ząb i szlaczek do kołnierzy i ozdoby sukien (roboty szydelkowej).

Rycina Nr 28 i 37 w Bl. Nr 3.

Ząb wykonany krętą bawełną koloru żółtawego, złożony z wielkich małych i podłożnych gwiazdek, każda oddzielnie, wykonanych podług deseni, który jest zbyt wyraźny, by potrzebował opisu. Odpowiedni szlaczek tymże sposobem wykonany.

Serwetka ozdobiona haftem.

Rycina Nr 29—33 w Bl. Nr 3.

Serwetka wykonana na czarnej tkaninie z wrobionym szlakiem, wielkości w kwadrat 46 cent. otoczona bombelkową frendzlą. Tło ozdobione rozmaitego koloru włóczką ścięciem krzyżowym i Holbeina na podkładzie z kanwy. Ryc. Nr 32 stanowi część środkową, ryc. Nr 31 narożniki, fig. zaś 29 i 30 przedstawia w połowie boczne figury wykonane ścięciem Holbeina. Wybór kolorów włóczek dowolny.

Postumencik w rodzaju japońskim do robót.

Rycina Nr 35 34 w Bl. Nr 3. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31).

Postumencik z trzeiny złożony z krzyżujących się nówek, pomiędzy które wstawia się rodzaj koszyczka z japońskiej pletni. Nózki przyozdobione pletnią z włóczki ciemno-ponsowej i zielonawym galonikiem oraz bombelkami z różnokolorowej włóczki. Koszyczek przybrany wewnątrz bufką z atlasu „vieil-or“ a w górnej części otoczony bufką z brązowego pluszu, dalej zaś haft wykonany podług fig. 31, która przedstawia 4-tą część. Haft wykonać należy na filcu koloru piaskowego 40 cent. w kwadrat włóczką hamburską koloru piaskowego i poziomkowego w kilku cieniach ścięciem płaskim i gałązkowym. Wypełnić środkowe części kwiatków wraz z krzyżującymi się rzędami włóczką koloru poziomkowego i mocować ścięgi krzyżowe każdy krzyżykiem z jedwabiu. Otoczyć figury japońską złotą nitką, mocowaną jedwabiem koloru poziomkowego. Część środkową zdobi motyl podług ryc. Nr 34, wykonany włóczką piaskową poziomkową i złotą nitką. Wycięć po wykończeniu haftu materiał niepotrzebny i przykleić haft na koszyczek. Zewnętrzna strona koszyczka wykończona frendzlą pasmanteryjną podług ryciny.

Ubranie dla chłopczyka od 2—3 lat

Rycina Nr. 1 i 2. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 56—59).

Ubranie złożone z majteczek ze staniczkiem i kurteczki z sukna koloru niebieskiego i niebieskiego w kraty

z ponsowym. Kurtkę skrajać z sukna gładkiego podług fig. 56—58 po dwie części, podług fig. 49 dzisiejszej tablicy skrajać kołnierz. z sukna podkładu i podszewki skrajać podług fig. 59 pięć kłapek i zaopatrzyć kołnierz podszewką i podkładem. Połączyć przednie części z plecami podług cyfr; do tych ostatnich w dolnym brzegu przyszyć kłapki każda od dwukropka do dwukropka, oraz przyszyć spódniczkę z materiału w kraty 275 c. obwodu a 20 cent. wysokości, którą zaopatrzyć podszewką bawełnianą i muslinem. Ułożyć w fałdy. Połączenie staniczka z kłapkami pokryte paskiem 4 cent. szer. z sukna, podszewki i podkładu, spiętym w przedniej części na dziurkę i odpowiedni guziczek. Kołnierz przyszyć do kurtki, trafiając * na *. W rękawach wykonać szew od 55 do 56 i wszyć. trafiając w 56 na 56 pleców. Szarfa skrajana z materiału w kraty 125 dług. a 19 szer., przytrzymana na lewym ramieniu przepięciem z sukna gładkiego opatrzyć podług ryciny, związana na lewym boku. Wzdłuż linii przedniego brzegu przyszyć metalowe guziczki, do których odpowiednie dziurki wykonać w lewej przedniej części. Krój majtek podaje fig. 43—45 dzisiejszego kroju tablicy, a mianowicie: skrajać z niebieskiego sukna fig. 43 i 44, a z podszewki fig. 45. Wykonać podług opisu.

Suknia z kaszmiru i aksamitu.

Rycina Nr 7.

Suknia z kaszmiru koloru Eiffel ciemnego, przyozdobiona tegoż koloru aksamitem nieco ciemniejszym, oraz koronką gipiurową 10 cent. szer. haftowaną kolorowo. Staniczek „flgaro“ z aksamitu. Rękawy bufiaste ozdobione koronką i aksamitem. Spodni staniczek fałdowany przepasany paskiem wełnianym ułożonym w fałdy.

Suknia wieczorowa z aksamitu i haftu gipiurowego.

Rycina Nr 17.

Suknia formą „princesse“ z krótkim trenem



Nr 17. Suknia wieczorowa z aksamitu i haftu gipiurowego.



Nr 18. Suknia spacerowa z materiału wełnianego „broche“ i aksamitu.

z aksamitu zielonego. Rękawy pół długie i wycięcie stanika „en coeur.” Haft gipirowy koloru „écru” pokrywa część stanika i spódnicę podług ryciny. Ozdoby z pasmasmanteryi z perłami odpowiedniego koloru.

Suknia spacerowa z materiału wełnianego „broché” i aksamitu.

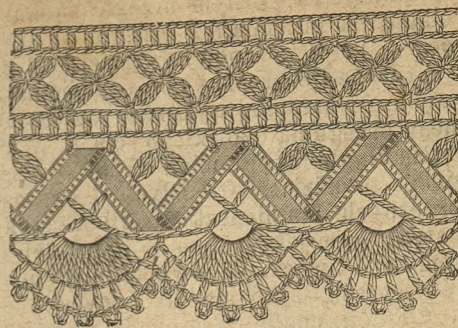
Rycina Nr 18.

Spódnica z ciemno-zielonego kamlotu, pokryta materiałem wełnianym w deseń w tymże kolorze. Przednia część lekko drapowana, boki zaś i część tylna w spadające wolne fałdy. Dolna część obszyta czarnym aksamitem 15 cent. szer. Stanik krótki z czarnego aksamitu wykonany i ubrany czarnymi strusimi piórami, które zdobią także prawy bok tiuniki.

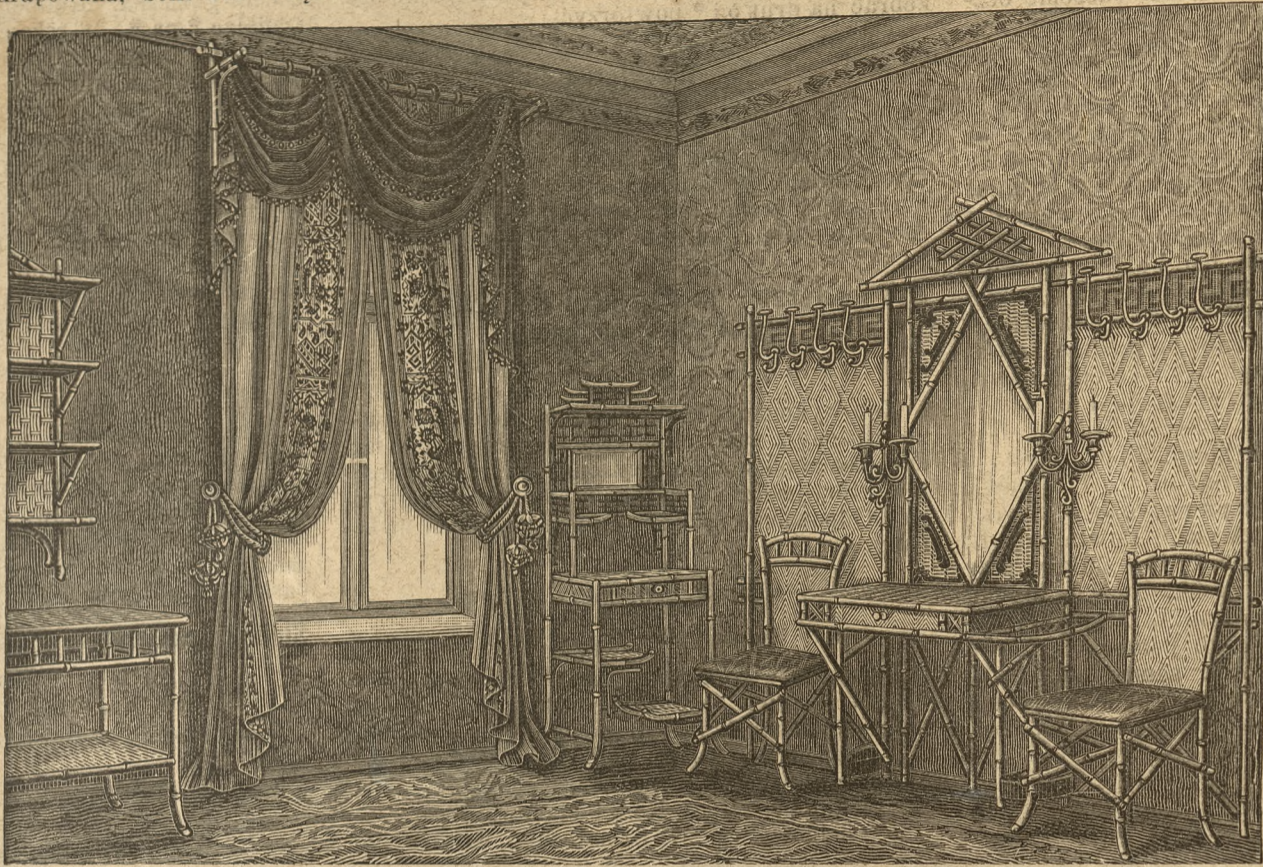
Szlaki do serwet i t. p. Ścieg płaski, pleciony, krzyżowy, łańcuszkowy i stebnowany.

Rycina Nr. 21 i 22.

Szlaki wykonane na grubej lnianej tkaninie koloru żółtawego. bawełną do cerowania ponsową, oraz przędzą lnianą czarną i białą. Rycina Nr 21 wykonany ściegiem płaskim, krzyżowym, stebnowanym



Nr 19. Koronka wykonana szydełkiem i tasie-mezką.



Nr 20. Przedpokój z meblami z bambusu. (Deseń na firankę podług ryc. Nr 23).

i łańcuszkiem ukośnym. Rycina Nr 22 temiż samemi ściegami, oraz ściegiem plecionym.

Przepisy gospodarskie.

Ryż na zimno z kompotem z gruszek lub pomarańcz (tak zwany po portugalsku).

Odparzywszy ryż w ukropie ugotować go na sytko na wodzie z masłem młodem i ułożyć na półmisku w kształcie wianka. W środek ułożyć kompot z gruszek, z pomarań-

czy, lub pomarańcze przygotowane jak na komput, to jest ćwiartki obrane z białej skórki, po wyjęciu pestek, oblać wszystko razem syropem z dodaniem obtartej skórki pomarańczowej. Postawić w zimnym miejscu i podać na zimno. Syrop nie powinien być zbyt gęsty i powinno go być dużo, dodać do syropu parę łyżeczek dobrego araku.

L. C.

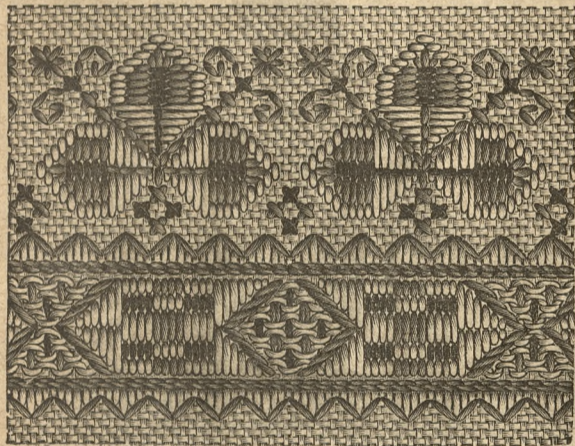
Obiad na Niedziele.

1. Zupa żółwiowa (patrz 365 obiadów).
2. Paszteciki w konchach.
3. Połędwica z makaronem.
4. Groszek zielony lub szpinak z omletem.
5. Pieczeń sarnia z sałatą z czerwonej kapusty.
6. Krem mrożony.

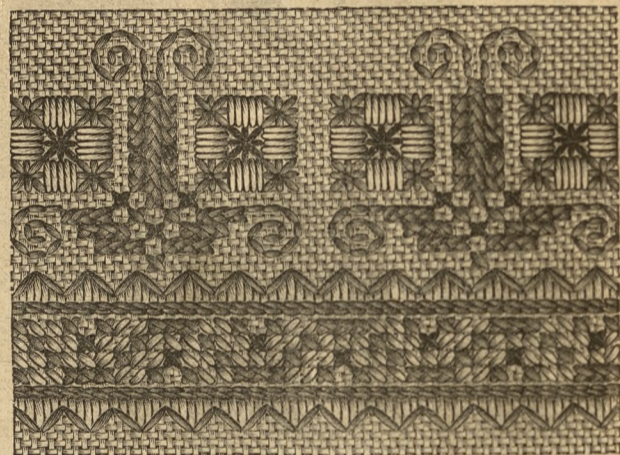
Opisanie figury 19 w przyszłym numerze.

UWAGA.

Tablica krojów dołączona do N. 3 Bluszczu, służy też do numeru dzisiejszego.



Nr 21. Szlak na serwetkę i t. p. (Ścieg: płaski, krzyżowy, łańcuszkowy i stebnowany).



Nr 22. Szlak na serwetkę i t. p. (Ścieg: płaski, pleciony, krzyżowy i stebnowany).

Nr 23. Deseń na firanki, kołdry, krzesła i t. p. Robota krzyżowa. ■ Ciemno-niebieski, □ jasno-niebieski, ■ ponsowy, * oliwkowy, □ piaskowy, ' tło.